

Bartosz Witkowski – przesłuchania finałowe, 6 grudnia 2024

Po zmaganiach kameralnych, szóstka szczęśliwców zakwalifikowała się do finałowych zmagania. Znalezienie się na wielkiej estradzie obok orkiestry, a w przypadku regulaminowych koncertów – orkiestry naprawdę okazałych rozmiarów, zmienia optykę z bardziej introwertycznego ujęcia na wielogłos i współpracę z oddychającym swoim tempem zespołem.

Lilia Pocitari dotychczas prezentowała się jako skrzypaczka zdecydowana, realizująca swoje muzyczne wizje w sposób konkretny i konsekwentny. Bynajmniej nie pozbawiało ją to liryzmu, niemniej okazywała go zdecydowanie rzadziej. A tu, na finałowych przesłuchaniach, wręcz odwrotnie – niezwykle lirycznie, delikatnie zdawała się śpiewać długie frazy pierwszej części Szostakowiczowskiego *Koncertu*, meandrując między matowym półgłosem a nośnym tembrem. Drapieżne środkowe ogniwo wykonała obiektywnie, bez potężnej dawki sarkazmu, którą wielu doprawia tę muzykę. W trzecim powrócił bezbrzeżny liryzm, ale to dopiero kadencja oraz finał zdawały się najbardziej rezonować z jej charakterem. Potraktowała je dramatycznie, wreszcie doprawiając swą grę ostrością i pozwalając na odrobinę mechanicznej motoryczności, co idealnie współgrało z taką narracją.

U interpretującego ten sam *Koncert* na koniec piątkowego wieczoru Zhanga Zou na pierwszy plan wysuwał się rozdzierający dramat. Zrazu skryty, jedynie od czasu do czasu dający o sobie znać, w drugiej części stawał się wyraźnie słyszalny. Reprezentant Chin bardzo udatnie podtrzymywał buzujące napięcie pomiędzy partią solową a orkiestrą. W wolnym ogniwie natomiast obrał nieco inną strategię niż Mołdawianka – ton był bardziej płaczący, każdy akcent poprowadzony jak bolesny sztych. Świetnie ukazaną kadencję spowił mrok, a zakończenie zyskało u niego cechy brawurowego agonu, tworząc sensownie poprowadzoną puentę tej interpretacji.

Bardzo cieszy mnie, że w finałach pojawił się *Koncert skrzypcowy* Wajnera, dzieło nie tak silnie osadzone w repertuarze i wybrane przez zaledwie niewielką garstkę uczestników. Ștefan Șimonca-Oprița wykonywał ten utwór z dbałością o szczegóły i adekwatność poszczególnych afektów – jak choćby na początku wydobywając cechy cyrkowego galopu, pod jego palcami ze zdumiewającą lekkością, pozbawioną technicznych trudności. W lirycznych fragmentach sam był jakby jedną wielką pieśnią – ciągnął niekończącą się melodię, nasycając brzmienie instrumentu jakąś dziwną tęsknotą, melancholią, ale i słoneczną błogością. W domykającej części, pełnej wirtuozerii, stawiającej solistę na pierwszym planie,

nieco stracił animusz, grając ciut niestabilnie agogicznie i lepiej odnajdując się w odcinkach instrumentalnego śpiewu.

Na osobne słowa uznania zasługuje doskonale przygotowana i poprowadzona przez Wojciecha Rodka Akademicka Orkiestra Symfoniczna, partnerująca młodym wykonawcom z dużą dozą empatii i wsłuchania się w siebie nawzajem.